

NA STANCJI U MŁODZIAKÓW

1. Młodziakowie – scharakteryzuj bohaterów:

Pan Młodziak:

Pani Młodziakowa:

2. Jaki dom prowadzą państwo Młodziakowie?

3. ZUTA I ŁYDKA

SCENA Z KOMPOTEM

Rzecz dziwna — inżynierowi zawdzięczam wyzwolenie, gdyby nie inżynier, na wieki byłbym uwięziony, on to mimo woli sprawił, że nastąpiło małe przesunięcie, że naraz pensjonarka znalazła się we mnie, nie ja — w pensjonarce, tak, inżynier wciągnął we mnie córkę, do zgonu będę mu wdzięczny. Pamiętam, jak się zaczęło. Pamiętam — przychodzę ze szkoły na obiad, Młodziakowie siedzą już przy stole, służąca wnosi zupę kartoflaną, pensjonarka również siedzi — siedzi doskonale, z nieco bolszewicką fizykulturą i w gumianych półbucikach. Zupy jadła mało — a za to wypłała duszkiem szklanekę zimnej wody i zagryzła kromką chleba, zupy unikała, rozwodniona papka, ciepła i zbyt łatwa, musiała zapewne szkodzić jej na typ i prawdopodobnie chciała być jak najdłużej głodna, przynajmniej do mięsa, gdyż dziewczyna nowoczesna głodna jest wyższej klasy niż dziewczyna nowoczesna syta.

Młodziakowa również zjadła b. mało zupy, a mnie nie zapytała wcale, jak tam w szkole się powiodło. Dlaczego nie zapytała? Dlatego że nie uznawała tych matczynych pytań i w ogóle matka trochę ją mierzyła, nie lubiła matki. Wołała siostrę.

— Proszę, Wiktorze, weź soli — rzekła, podając mężowi sól tonem prawdziwej wiernej towarzyszkii oraz czytelniczki Wellsa i dodała, wpatrzona nieco w przyszłość, nieco w przestrzeń, z akcentem humanitarnego buntu jednostki ludzkiej, walczącej z hańbą zła społecznego, niesprawiedliwości i krzywdy.

— Kara śmierci jest przeżytkiem.

A wtedy Młodziak, ten Europejczyk, inżynier i uświadomiony urbanista, który kształcił się w Paryżu i stamtąd przywiózł dryg europejski, czarniawy, w ubraniu — swobodny, w bucikach żółtych, giemzowych, nowych, które na nim bardzo się uwydatniały, w kołnierzyku a la Słowacki i w rogowych okularach, pozbawiony przesądów czerstwy pacyfista i wielbiciel naukowej organizacji pracy, z dowcipami i anegdotami naukowymi oraz dowcipami z kabaretów, rzekł biorąc sól.

— Dziękuję, Joanno.

Po czym dodał głosem uświadomionego pacyfisty, ale z domieszką studentów politechniki.

— W Brazylii topią całe beczki soli, gdy u nas jest po sześć groszy gram. Politycy! My, fachowcy. Reorganizacja świata. Liga Narodów.

A wówczas Młodziakowa odetchnęła głęboko i rzekła inteligentnie, z wizją lepszego jutra i szklanych domów Żeromskiego, nawiązując do tradycji zmagania Polski wczorajszej, a dążąc do Polski jutrzejszej.

— Zuta, kto to był ten chłopiec, z którym dziś wracałaś ze szkoły? Jeżeli nie chcesz, możesz nie odpowiadać. Wiesz, że cię w niczym nie krępuje.

Młodziakówna zjadła obojętnie kawałek chleba.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Nie wiesz? — rzekła z przyjemnością matka.

— Zaczepił mnie — rzekła pensjonarka.

— Zaczepił? — zapytał Młodziak.

Właściwie zapytał machinalnie. Ale już samo pytanie obciążało kwestię i mogło wywołać wrażenie ojcowskiego niezadowolenia starej daty. Dlatego Młodziakowa interweniowała.

— A cóż w tym dziwnego? — zawołała, ale z przesadną, być może, dezinwolturą. — Zaczepił ją — wielkie rzeczy! Niech zaczepia! Zuta, a może umówiłaś się z nim? Doskonale! Może chcesz wybrać się z nim na kajak — na cały dzień? A może chcesz pojechać na week-end i nie wracać na noc? Nie wracaj w takim razie — rzekła usłużnie — nie wracaj śmiało! Albo może chcesz wybrać się bez pieniędzy, może chcesz, żeby on za ciebie płacił, a może wolisz płacić za niego, żeby on był na twoim utrzymaniu — w takim razie dam ci pieniędzy. Ale najpewniej poradzicie sobie oboje bez pieniędzy, co? — zawołała hardo, napierając całym ciałem. Inżynierowa rzeczywiście zagalopowała się trochę, córka jednak uchyliła się zręcznie od matki, która zbyt wyraźnie pragnęła wyzywać się za jej pośrednictwem.

— Dobrze, dobrze, mamu — zbyła ją niczym, nie dobierając kotletów, gdyż siekane mięso nie służyło jej — za pulchne i za łatwe jakieś. Nowoczesna była bardzo ostrożna z rodzicami, nie dopuszczała ich nigdy zbyt blisko. Ale już inżynier podchwycił wątek żony. Ponieważ żona zainsynuowała, jakoby widział coś złego w zaczepianiu córki, on z kolei zapragnął się wykazać. Tak to oni na przemian podchwytywali swoje wątki. I zawołał:

— Pewnie, nic w tym złego! Żuta, jeżeli chcesz mieć dziecko nieślubne, bardzo proszę! A cóż w tym złego! Kult dziewictwa ustał! My, inżynierowie konstruktorzy nowej rzeczywistości społecznej, nie uznajemy kultu dziewictwa dawnych hreczkosiejów!

Wychylił haust wody i urwał czując, że może nieco się zagalopował. Wtedy jednak Młodziakowa podchwyciła wątek i pośrednio, ogólnikowo zaczęła namawiać córkę do nieślubnego dziecka, dawała wyraz swemu liberalizmowi, opowiadała o stosunkach w Ameryce, cytowała Lindsaya, podkreślała niezwykłą łatwość pod tym względem współczesnej młodzieży itd., itd... Był to ich ulubiony konik. Gdy jedno zsiadało z niego, czując, że za daleko się zagalopowało, drugie dosiadało i pędziło. Było to tym dziwniejsze, że właściwie, jak się rzekło, wszyscy oni (bo i Młodziak również) nie lubili matki ani dziecka. Lecz trzeba zrozumieć, że dosiadali tej myśli nie od strony matki, a od strony pensjonarki, i nie od strony dziecka, a od strony nieślubnego. Zwłaszcza Młodziakowa dzieckiem nieślubnym córki pragnęła wysunąć się na czoło awangardy dziejów i żeby to było dziecko poczęte przygodnie, łatwo, śmiało, hardo, w krzakach, na sportowej wycieczce z rówieśnikiem, jak opisują w nowoczesnych romansach etc. Zresztą już samo mówienie, samo namawianie pensjonarki przez rodziców częściowo realizowało pożądaną smaczkę. A używali sobie tym śmieiej na tej myśli, że czuli mą niemożność wobec niej — rzeczywiście, nie umiałem dotychczas obronić się czarowi siedemnastolatki w krzakach.

Lecz nie uwzględnili, że tego dnia nawet na zazdrość byłem już za biedny. Cóż — od dwóch tygodni bez przerwy robili mi gębę i gęba stała się wreszcie tak fatalna, że nawet zazdrościć już nie miałem z czego. Domyśliłem się, że chłopiec, o którym mówiła Młodziakowa, to pewnie Kopyrda, lecz cóż, wszystko jedno, żalność, smutek — smutek i ubóstwo — ubóstwo i zmęczenie wielkie, rezygnacja. Zamiast tedy ująć myśl od strony zielonobłękitnej, hardej, świeżej, ująłem ją ubogo. „Cóż, dziecko jest dzieckiem” — myślałem wyobrażając sobie poród, mamkę, choroby, ognipiór, nieporządki dziecięce, koszt utrzymania oraz że dziecko swym ciepłem dziecięcym i mlekiem zniweczyłoby wkrótce dziewczynę czyniąc ją ociężałą i ciepłą mateczką. Toteż powiedziałem ubogo, mentalnie, nachylając się do Młodziakówny.

— Mamusia...

A powiedziałem bardzo smutno, rzewnie i ciepłutko, wsadziłem w ten wyraz całe to ciepłoko mamie, którego oni w swej ostrej, świeżej, dziewczęcej i młodzieńczej wizji świata nie chcieli uwzględnić. Po co to powiedziałem? Ot, tak sobie. Dziewczyna, jak każda dziewczyna, estetyką była

przede wszystkim, zadaniem jej głównym była przystojność, a ja, dopasowując do jej typu ciepłe, uczuciowe i nieco roznegliżowane wyrażenie „mamusia”, tworzyłem coś ohydnie rozmamłanego i nieprzystojnego. I myślałem, że może pęknie od tego. Co prawda wiedziałem, że mi się uchyli, a nieprzystojność pozostanie przy mnie — albowiem taki był układ między nami, że wszystko, co przeciwko niej przedsięwziąłem, przylegało do mnie, jak gdybym pluł pod wiatr.

A tu Młodziak jak nie chichnie!

Zachichotał niespodziewanie dla siebie, gardłowo, złapał serwetę, zawstydził się — chichotał z oczami na wierzchu, zakasłał się i ryczał w serwetę, strasznie, automatycznie, mimo woli. Aż się zdumiałem!

Co go tak połechtalo w systemie nerwowym? Ten wyraz — „mamusia”? Rozśmieszył go kontrast pomiędzy jego dziewczyną a moją mamusią, coś mu się skojarzyło, może z kabaretem, a może głos mój smutny i żalony wywiódł go na podwórko rodzaju ludzkiego. Miał on tę właściwość, wspólną wszystkim inżynierom, że był niezmiernie łechczywy na szmonces, a moje powiedzenie istotnie zatracalo co nie bądź szmoncesem. I chichotał tym intensywniej, im bardziej przed chwilą gloryfikował się w dziecku nieślubnym. Okulary spadły mu z nosa.

— Wiktorze — rzekła Młodziakowa. A ja jeszcze dodałem mu gazu:

— Mamusia, mamusia...

— Przepraszam, przepraszam — chichotał — przepraszam, przepraszam... A to! Nie moge! Przepraszam...

Dziewczyna pochyliła się nad talerzem i nagle ujrzałem nieomal fizycznie, że poprzez chichot ojcowski dotknęło ją moje wyrażenie — a zatem dotknąłem ją, dotknięta była — tak, tak, nie omyliłem się, śmiech ojca z boku zmienił sytuację, wydobył mnie z pensjonarki. Nareszcie mogłem jej dotykać! Siedziałem jak trusia. Rodzice również to zauważyli, przybiegli na pomoc.

— Wiktorze, dziwię się — rzekła z niezadowoleniem Młodziakowa — uwagi naszego staruszka nie są bynajmniej dowcipne. To poza, nic więcej!

Inżynier pohamował wreszcie śmiech.

— Co, myślisz, że ja z tego się śmiałem? Nigdy w życiu, nawet nie słyszałem — coś mi się przypomniało...

Ale ich wysiłki tylko jeszcze bardziej wciągały pensjonarkę w sytuację. Choć nie rozumiałem dobrze, co się dzieje, powtórzyłem jeszcze parę razy „mamusia, mamusia” tym samym tonem ospałym i biednym, a przez powtórzenie wyraz zyskał, widać, nową siłę, gdyż inżynier ponownie chichnął krótko, urywanie, śmiechem wykrztuśnym, gardłowym. I zapewne śmiech ten go rozśmieszył — gdyż znienacka parsknął na całego, zatykając usta serwetką.

— Proszę się nie wtrącać! — krzyknęła na mnie Młodziakowa w złości, ale swoją złością bardziej jeszcze wciągnęła córkę, która na koniec wzruszyła ramionami.

— Dajże pokój, mamó — odezwała się na pozór obojętnie, ale i to także ją wciągnęło. Zdziwiająco — tak radykalnie zmienił się układ między nami, że każde słowo ich wciągało. Właściwie było nawet dość przyjemnie. Czułem, że odzyskałem możliwość z pensjonarką. Ale było mi właściwie wszystko jedno. I czułem, że odzyskałem możliwość, ponieważ jest mi wszystko jedno, i że gdybym choć na mgnienie oka smutek i żalność, ubóstwo i nędzę zastąpił triumfem, natychmiast moja możliwość byłaby unicestwiona, gdyż była to właściwie przedziwna przemożność osnuta na kanwie zdeklarowanej i zrezygnowanej niemożności. Więc aby utwierdzić się w ubóstwie i zaznaczyć, jak

bardzo jest mi wszystko jedno, jak niegodny jestem czegokolwiek, zacząłem babrać się w kompocie, wrzucałem okruszyny, śmiecie, gałki z chleba, bekałem łyżeczką. Gębę miałem, cóż ostatecznie, dla mnie i to dobre — ach, psiakrew, co mi tam — myślałem ospale, dodając jeszcze trochę soli, pieprzu i dwie wykałaczki — ach, niech tam, wszystko zjem, byle czym mogę się pożywić, wszystko jedno... I byłem, jakbym leżał w rowie, podczas gdy ptaszki fruwały... zrobiło mi się ciepło i przytulnie od bełtania.

— Co kawaler?... Co kawaler?... Dlaczego kawaler babrze się w kompocie?

Młodziakowa zadała pytanie cicho, lecz nerwowo. Podniosłem nieudolny wzrok znad kompotu.

— Ja tylko tak... mnie wszystko jedno... — szepnąłem boleśnie i obleśnie.

I zacząłem jeść papkę, a memu duchowi papka rzeczywiście nie sprawiała już żadnej różnicy. Trudno wypowiedzieć, jakie wrażenie wywarło to na Młodziakach, nie spodziewałem się równie silnego wrażenia. Inżynier spontanicznie zachichotał po raz trzeci, śmiechem kabaretowym, śmiechem podwórkowym, śmiechem tylnym. Dziewczyna pochyliła się nad talerzem i jadła swój kompot w milczeniu. poprawnie, wstrzemięźliwie, nawet — heroicznie. Inżynierowa zbladła — i wpatrywała się we mnie jak zahipnotyzowana. z oczami na wierzchu, najwyraźniej bała się mnie. Bała się!

— To poza! Poza! — mamrotała. — Proszę nie jeść.. Nie pozwalam! Zuta! Wiktorze — Zuta! Wiktorze! Zuta! Zuta! Wiktorze — przestań, zabroń!

O...Jadłem ciągle, bo dlaczegoż miałbym nie jeść? — wszystko zjem, zdechłego szczura, wszystko jedno... — „Ech, Miętus — myślałem — dobre, dobre... Dobre... Niech tam, co tam, byle co do gęby włożyć, niech tam, co tam, niech tam...”

— Zuta! — krzyknęła przeraźliwie Młodziakowa. Dla matki widok wielbiciela córki, konsumującego wszystko bez różnicy, był nie do zniesienia. Lecz wtedy pensjonarka, która właśnie skończyła swój kompot, wstała od stołu i wyszła. Młodziakowa wyszła za nią. Młodziak wyszedł konwulsyjnie rozchichotany, zatykając usta chusteczką od nosa. Nie było wiadomo, czy ukończyli obiad, czy uciekli. Wiedziałem, uciekli! Porwałem się za nimi! Górą nasza! Dalej naprzód, atakuj, zaczepiaj, bij, goń, ścigaj, następuj, chwytaj, przyduś, duś, duś, gnęb i nie popuszczaj! Bali się? Straszyc! Uciekali? Gonić! Cicho, spokojnie, spokojnie, spokojnie, biednie i żałośnie, nie zmieniaj żebraka na zwycięzcę, wszak żebrak przyniósł ci zwycięstwo. Bali się, żeby im mózgowo dziewczyny, jak kompotu, nie przyrządził. Ha, teraz już wiedziałem, jak się zabrać do jej stylu! I mogłem w sobie mózgowo, mentalnie nadziewać ją wszystkim, co popadnie, bełtać, drobić, mieszać, nie przebierając w środkach! Ale spokojnie, spokojnie...Kto uwierzy, że chichot podziemny Miedziaka przywrócił mi zdolność oporu? Moje czyny i myśli odzyskały szpony. Nie, partia nie była wygrana. Ale mogłem przynajmniej działać. Wiedziałem, po jakiej linii mam pójść. Kompot wyjaśnił mi wszystko. Tak samo, jak zbabrałem kompot zamieniając go w rozwiązłą papkę, tak też mogłem zniszczyć nowoczesność pensjonarki doprowadzając do niej pierwiastki obce, heterogeniczne, mieszając, co wlezie. Hajda, hajda, hajda, na nowoczesny styl, na urodę nowoczesnej pensjonarki! Ale cicho, cicho...

1. Jaką gębę chcieli przyprawić swojej córce państwo Młodziakowie? A jaką chciał jej przyprawić Józio? Opisz metody przyprawiania gęby ze strony trojga bohaterów.

2. Znajdź w przedstawionym fragmencie elementy komizmu sytuacyjnego i postaci i przedstaw na konkretnych przykładach.

KOMIZM SYTUACYJNY	KOMIZM POSTACI

3. Podaj przykład zdań złożonych podrzędnie okolicznikowych, przydawkowych i dopełnieniowych (po 1) z fragmentu.

4. Wytłumacz symboliczne znaczenie kompotu w scenie.

5. Nowoczesność – alternatywa dla rozsądku? Odpowiedz na pytanie formułując swoje stanowisko i za pomocą trzech argumentów z tekstu, które mogłyby stać się podstawą Twojej rozprawki na powyższy temat (ok. 90-140 słów).

TRADYCJA ZIEMIAŃSKA W DWORKU HURLECKICH

Lecz nie mogłem postąpić kroku. Śpiew zamarł mi na ustach. Przestrzeń. Na widnokręgu — krowa. Ziemia. W dali przeciąga gęś. Olbrzymie niebo. We mgle horyzont siny. Zatrzymałem się na skraju miasta i czułem, że nie mogę bez stada, bez wytworów, bez ludzkiego pomiędzy ludźmi. Łapałem Miętusa za rękę. — Miętus, nie idź tam, wróćmy, Miętus, nie wychodź z miasta. — Pośród obcych krzewów i ziół drżałem jak liść na wietrze, wyzuty z ludzi, a deformacje, uczynione mi przez nich, stały się bez nich niedorzeczne i niczym nie usprawiedliwione.

Natura. Nie chcę natury, dla mnie naturą są ludzie, Miętus, wracajmy, wołę ścisk w kinematografie niż ozon pól. Kto powiedział, że wobec natury człowiek się staje mały?

Przeciwnie, olbrzymięję i rosnę, delikatnieję, jestem jak obnażony i podany na półmisku ogromnych pól przyrody w całej nienaturalności człeczej, o, gdzie się podział mój las, mój gąszcz oczu i ust, słów, spojrzeń, twarzy, uśmiechów i grymasów?

Zbliża się inny las cichych, zielonych drzew iglastych, pod którymi przemyka zając i liszka pełza. A tu jak na złość żadnej wioski, droga przez pola i lasy.[...]

Czy był to stały mechanizm, czy zawsze tak przytąpywało każdego, kto przyjechał na wieś, czy na wsi nigdy z nikim nie zaczynało się inaczej, jak tylko poprzez choroby? Było klęską

Obywatelstwa wiejskiego, że odwieczne dobre maniery zmuszały do nawiązywania stosunków od strony kataralnej, i dlatego zapewne wyglądali tak kataralnie i blade w świetle naftowej lampy, z piaskami na kolanach. Wieś! Wieś! Stary dwór wiejski! Odwieczne prawa i

Odwieczne dziwne tajniki! Jak różne od ulic miejskich i tłumów na Marszałkowskiej! [...]

Rodzina towarzyszyła tym aktom w milczeniu i siedząc na biedermeierach. Wszedł stary sługa Franciszek.

— Podano do stołu — zaanonsował w tużurku.

— Kolacja — powiedziała ciocia.

— Kolacja — powiedziała Zosia.

— Kolacja — powiedział Zygmunt.

— Papierośnica — rzekł wuj. Służący podniósł — i przeszliśmy do stołowego w stylu Henri IV, gdzie na ścianach — stare portrety, w kącie samowar syczący.

Podano szynkę w cieście i groszek z puszki. Rozmowa znowu zabrzmiała. — Zajadać! — rzekł Konstanty dobierając nieco musztardy i odrobinę chrzanu [...] Konstanty jadł dosyć głośno, choć wyrafinowanie, z finezją; palcami operując nad talerzem, ujmował płat szynki, przyprawiał chrzanem lub musztardą i wtykał w otwór gębowy — to posolił, to znowu popieprzył, grzanekę posmarował masłem, a raz nawet wypluł kawałek, który mu nie zasmakował.[...] Ciocia pojadała z dobrocią, dosyć obficie, lecz cienko, Zosia wsadzała w siebie, Zygmunt konsumował gnuśnie, a służba usługiwała na palcach. [...]

- Jedzcie! Jedzcie! Zajadajcie, moi kochani! — Przełknął, mlasnął — i powiedział jak gdyby umyślnie z ostentacyjną sytością: — Jutro zwolnię sześciu fernali i nie wypłacę, bo nie mam!

Ciocia ocknęła się, poleciła służbie przygotować gościnny pokój, do łóżek — butelki z gorącą wodą i do poduszki talerzyk orzechów z konfiturą. Słyszając to wuj od niechcienia powiedział, że zjadłby trochę, i natychmiast usłużna służba przyniosła. Jedliśmy, choć już nie bardzo mogliśmy — ale nie mogliśmy nie jeść, ponieważ były na tacy przygotowane do jedzenia, a także ponieważ częstowali i zapraszali. Nie mogli zaś nie zapraszać, ponieważ były na stole. Miętus opierał się, stanowczo nie chciał konfitur i domyślałem się, czemu — ze względu na parobka — jednakże ciocia z dobrocią nałożyła mu podwójną porcję, a mnie poczęstowała

cukierkami z małej torebki. Słodko, zbyt słodko się robi, nie mogę już, zbyt ckliwo, lecz z talerzykiem przed sobą nie mogę nie, mdli mnie, dzieciństwo, ciocia, krótkie majtki, rodzina, mucha, pinczerek, parobek, Miętus, żołądek pełny, duszno, za oknem szaruga, nadmiar, przesył, za dużo, bogactwo straszne, biedermeier napawa od dołu. Lecz nie mogę wstać i powiedzieć „dobranoc”, nie można jakoś bez wstępu... próbujemy wreszcie, ale nas zapraszają i zatrzymują.

— Mieszczuch! — rzekłem, bo cóż miałem powiedzieć innego. — Mieszczuch — rzekł. — Taki Walek, jak mu dasz po mordzie, będzie cię szanował jak pana! Trzeba ich znać! Lubią to! — Lubią — rzekłem. — Lubią, lubią, ha, ha, ha! Lubią! — Nie poznawałem kuzyna, który dotąd traktował mnie raczej z rezerwą, apatia jego zniknęła, oczy zabłyśły, wybicie Walka po pysku spodobało mu się i ja się spodobałem; rasowy panicz wyrzał z opieszałego i znudzonego studenta, jak gdyby nagle wciągnął w nozdrza zapach lasu i gminu. Świece postawił na oknie, usiadł w nogach łóżka z papierosem. — Lubią — rzekł. — Lubią! Bić można, tylko trzeba dawać napiwki — bez napiwków nie uznaję bicia. Ojciec i stryj Seweryn swojego czasu w „Grandzie” bili po mordzie portiera. — A wuj Eustachy — rzekłem — pobił po mordzie fryzjera. — Nikt nie bił po mordzie lepiej od babki Eweliny, ale to dawne dzieje. Ot, niedawno Henryś Pac się urznął i sprął po pysku kontrolera. Czy znasz Henrysia Paca — jest bardzo bezpretensjonalny. — Odparłem, że znam kilku Paców, wszystkich nadzwyczaj naturalnych i bezpretensjonalnych, Henrysia jednak dotychczas nie zdarzyło mi się spotkać. Ale Bobiś Pitwicki wybił w „Kakadu” szybę mordą kelnera. — Ja raz tylko sprąłem po papie biletera — rzekł. [...] Lecz w tym wszystkim — coś nieprawdziwego i kilkakrotnie próbuję wtrącić w gawędę, że wszak to nie to, nieprawda, nikt dziś nikogo nie wali, nie ma już tego, a może nigdy nie było, legenda, fantazja pańska. Nie mogę jednak, zbyt słodko nam się gawędzi, fantazja pańska złała i nie popuszcza, gawędzimy jak panicz z paniczem! — Nieźle jest dać czasem w gębę! — Po mordzie dać — bardzo zdrowo! — Nie ma, jak facetowi dać w papę!

— Panstwo takie som! — mówili z jazgotem ludowym, kuchennym i kredensowym. — Takie som! Panstwo nie robiom, ciegiem ino żrom i żrom, to ich rozpiro! Żrom, chorujom, wylegujom się, po pokojach chodzom i gadajom cosik. Co tyż się nie nażrom! Matko Jezusowa! Ja tobym połowy nie zeżarł, choć ta zwykły cham jezdem. A to obiad, a to podwieczorek, a to cukierków, a to konfitury, a to jaja z cybulom na drugie śniadanie. Panstwo bardzo som pazerne i łakome — do góry brzuchem leżom i choroby majom od tego. A pon dziedzic, jak było polowanie, na gajowego wlazł! Na gajowego wlazł! Gajowy Wicenty stali za niem z drugom dubeltówka, pon dziedzic do dzika strzelił, dzik do pana dziedzica skoczył, a pon dziedzic dubeltówkę rzucił i na Wicentego wlazł — cichaj, Marcysia — na Wicentego wlazł!

1. **Wytlumacz, dlaczego chłopci szczekają na widok Józia i Miętusa. Opisz realną sytuację życiową, która wykazuje podobieństwa ze sceną powitania Józia i Miętusa przez chłopów.**

2. **Opisz stosunek Józia do natury.**

3. Jakie obyczaje panują w dworku Hurleckich? Dlaczego kultura dworku odchodzi w zapomnienie?

4. Kto, komu i w jaki sposób przyprawia gębę w powyższych fragmentach?

PAROBEK

Nagle Miętus zatrzymał się z widelcem w pół drogi i zastygł, wzrok mu pociemniał, gęba zszarzała na popiół, usta się rozchyliły i przepiękny mandolinowy uśmiech wykwitł na gębie strasznej. Uśmiech pozdrowienia i powitania, witaj mi, jesteś, jestem — rękami oparł się o stół, pochylił się, górna warga uniosła się jak do zatkania; lecz nie zatkał, tylko pochylił się bardziej. Parobka zobaczył! Parobek był w pokoju! Lokajczyk! Lokajczyk był parobkiem! Nie miałem wątpliwości — lokajczyk, który podawał groszek do szynki, parobkiem był wymarzonem.

Parobek! W wieku Miętusa, nie więcej niż osiemnaście, duży ni mały, nie brzydki i nie przystojny — włosy miał jasne, ale blondynem nie był. Uwijał się i obsługiwał boso, z serwetką przewieszoną przez lewe ramię, bez kołnierzyka, z koszulą zapiętą na spinę, w zwykłym niedzielnym ubraniu parobków wiejskich. Gębę miał — ale gęba jego nie była w niczym pokrewna fatalnej gębie Miętusa, nie była to gęba wytworzona, lecz naturalna, ludowa, grubo ciosana i zwykła. Nie twarz, która gębą się stała, lecz gęba, która przenigdy nie zyskała godności twarzy — była to gęba jak noga! Nie godzien honorowej twarzy, tak jak nie godzien blondyna i przystojnego — lokajczyk nie godzien lokaja! Bez rękawiczek i boso zmieniał talerze państwu, a nikt się temu nie dziwił — chłopak nie godzien tużurka. Parobek!... Jaki pech go nam zdarzył akurat tutaj, w domu wujostwa? [...]

— Jak się nazywasz?

— Walek — odparł i jasne było, że nie zdrabnia się, lecz to imię zgadza się z nim — jakby niegodzien był Walentego ani pełnego nazwiska. Gdy wyszedł, Miętusowi łzy zakręciły się w oczach.

Płakał jak bóbr. Krople ściekały po twarzy umęczonej. — Słyszalesz? Słyszalesz? Walek! Nazwiska nawet nie ma! Jak to wszystko nadaje się do niego! Widziałeś jego gębę? Gęba bez miny, gęba zwykła! Józio, jeżeli on się ze mną nie po...brata, nie wiem, co zrobię! [...] — Wpadał w złość, czynił mi wyrzuty, że kazałem gorącej wody przynieść, nie mógł sobie darować, że z braku innych rozkazów kazał wyjąć ukryte w szafie butelki z gorącą wodą. — On pewnie nigdy nie używa gorącej wody, a coś dopiero wody w butelkach do łóżka. On pewnie wcale się nie myje. A nie jest brudny. Józio, czyś zauważył, nie myje się, a nie jest brudny — brud w nim jest jakiś nieszkodliwy, nie mierzi! Hej, hej, a nasze brudy, nasze brudy... — Namiętność jego wybuchła z siłą przemożną w gościnnym pokoju starego dworu. Otarł łzy — lokajczyk wracał z konewką. Tym razem Miętus zaczął, idąc śladami moich pytań.

— Ile masz lat? — zapytał, patrząc przed siebie. — Iii... abo ja wiem, prosze jaśnie pana.

Miętusa aż zatknęło. Nie wiedział tego! Nie wiedział swoich lat! Zaiste, boski parobek, wolny od ośmieszających dodatków! [...]

Zaczem Miętus znowu powrócił do nieuniknionych zapytań.

— Czytać i pisać umiesz?

— Ii... skąd, prosze jaśnie pana.

— Rodzinę masz ?

— Siostrę mam, prosze jaśnie pana.

— A siostra co robi?

— Przy krowach, prosze jaśnie pana.[...]

Wtem zapytałem.

— A w gębę od dziedzica bierzesz? - Rozjaśnił się nagle i zawołał radośnie, ludowo.

— Oj, brać to biore po gębie! Oj, brać to biore! Zaledwie to powiedział, poderwałem się jak na sprężynie, machnąłem i trząsnąłem na odlew w lewy półgębek. Rozległo się w nocnej ciszy niczym wystrzał z pistoletu. Chłopak złapał się za gębę, zaraz jednak opuścił dłoń i powstał. — Ale tyż jasnie pon bije! — szepnął z podziwem i kultem. — Won! — wykrzyknąłem.

1. Wytłumacz na podstawie powyższych fragmentów, dlaczego Miętus poszukiwał parobka.

2. Podaj 4 przykładowe cechy języka Gombrowicza.

3. Podaj przykłady karykatury w powyższych fragmentach.

4. Udowodnij, że fragmenty opisujące Walka i rodzinę Hurleckich mają charakter groteskowy.

